

Moskwa 2000

GRZEGORZ PRZEBINDA

■ Władimir Bukowski, w ZSRR słynny dysydent, dziś obywatel Zjednoczonego Królestwa Brytyjskiego, który od publikacji w 1996 roku głośnego „Moskiewskiego procesu” nie dostaje wizy wjazdowej do Rosji, w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” wyznał, że nie go nie ciągnie do pierwszej ojczyzny: „Prawdę mówiąc, to ja się do Rosji nie rwę, bo Rosję wyraźniej widać z oddali niż z bliska”. Ta dramatyczna diagnoza jest w zasadzie bezbłędna. Szkoda, że ten głośny emigrant może być słyszany w Polsce, ale nie w Rosji.

Pytanie tylko, czy byłby w ogóle zauważony w tamtejszym nacjonalistycznym zgiełku? Wróciwszy właśnie z dwutygodniowej podróży do Moskwy – gdzie codziennie karmilem się informacjami z gazet, telewizji, radia i rozmawiałem z ludźmi o przeróżnym poziomie wykształcenia – od profesorów i pisarzy przez mieszczan po kłozardów – mogę tylko potwierdzić pesymistyczną tezę Bukowskiego. „Puchający nacjonalizm rosyjski – pisze w teście „Rzeczpospolitej” Gustaw Herling-Grudziński – jest dziś problemem numer jeden”. Tak właśnie jest: rosyjskie społeczeństwo – nie wyłączając starej inteligencji w obu stolicach – niesłychanie łatwo poddaje się manipulacji mediów, gdy gazety i telewizja grają prawie unisono na resentymentach imperialno-patriotycznym.

Rokrocznie od osmiu lat odwiedzam mieszkającą w centrum starej Moskwy inteligentką rodzinę, która w wyborach popierała zawsze Grigorija Jawlińskiego i jego partię „Jabłoko”. Teraz zaczęliśmy rozmowę od Czeczenii i młody mężczyzna – trzydziestoletni nauczyciel jednej z moskiewskich szkół podstawowych – zwierzył się, że on sam jest jędzą ubiegłego roku dał się ogłupić telewizji i gazetom. „Czego wymagać od prostych ludzi na prowincji – opowiadał – skoro ja sam uznałem ten bandytyzm za wojnę sprawiedliwą, a potem cieszyłem się jak dziecko, gdy popierany przez Putina blok wyborczy „Miedwiedź” skutecznie stawił czoło komunistom... Przejrzałem dopiero wtedy, gdy w nowo wybranej Dumie Państwowej – „Miedwiedź” sprzymierzył się z komunistami... Potem również telewizja, szczególnie NTV, zaczęła pokazywać prawdziwe obrazy z wojny, zacząłem też sięgać do tych gazet, które nigdy nie podały się wojennej histerii [mogły to być tygodniki: „Moskowskie Nowosti”, „Obszczaja Gazeta”, „Russkaja Mysl” oraz ukazujące się dwa razy w tygodniu „Nowaja Gazeta” – G. P.]. Dziś jestem zdecydowanym przeciwnikiem wojny i Putina, ale nadal się dziwię, jak łatwo dałem się wtedy uwieść”.

Z PERSPEKTYWY GĄSIORA

Przecież nie każdy – tak jak patrzył z oddalenia Bukowski czy Herling-Grudziński

– ma Rosję we krwi i umyśle. Wielu z nas, jeśli chce cokolwiek zrozumieć z kontrolowanego chaosu Rosyjskiej Federacji ostatnich pięciu lat, musi jednak tam być – i to regulaminy. Dla moich corocznych podróży znajduje usprawiedliwienie we fragmencie noblowskiego przemówienia Czesława Miłosza, w którym lejący gąsior – bohater „Cudownej podróży” Selmy Lagerlöf, przedstawiony jest w podwójnej roli: „Jest on tym, który leci nad ziemią i ogarnia ją z góry, a zarazem widzi ją w każdym szczególe, co może być metaforą powołania poety”. Patrząc z perspektywy oddali i widzieć każdy szczegół, dostrzegać konkret i nie zatracić ogólnego dystansu – może takim właśnie szlakiem winien podążać nie tylko poeta, ale także podróżnik-reportażysta? Można na przykład założyć – a ktoś inny jak nie Rosja lat 1991-2000 dała ku temu tak wiele powodów? – że pierwsze dziesięciolecie XXI wieku będzie znów pasmem klęsk i niepowodzeń tego kraju. Z podobnego punktu widzenia każde następne, niebezpieczne dla Polski i Europy wydarzenie w dziejach Rosji (np. zaostrezenie konfliktu Centrum z Republiką Tatarstanu, kolejny ostry kryzys ekonomiczny w Federacji, coraz silniejsze pogroźki atomowe wobec świata, geopolityczna aneksja Białorusi, „energetyczny” nacisk na Ukrainę), będzie traktowane przez analityka-politologa według zasady: „To wszystko było do przewidzenia!”. Ale czy takie podejście nie zawiera w sobie widma „dialektycznej nieuchronności”?

W nowej, postwiskowej Rosji byłym po raz pierwszy w okresie szoku cenowego, wywołanego początkiem nieudanej reformy Jegora Gajdara. Były to czasy szarży i biedy, ale przecież także jakieś nadziei. Kiedy podczas następnej podróży w lutym 1993 roku jeden z moich moskiewskich znajomych podkreślał z dumą, że Rosja wychodzi z komunizmu bez przelewu krwi, to rozumiałem i podzielałem to jego radość. Gdy jednak przyjechałem do Rosji po raz trzeci w lutym 1994 roku, Moskwa nie ochłonęła jeszcze po krwawej rozprawie Jelcyna z nieposłusznymi komunistycznymi deputowanymi („rozstrzelanie” Białego Domu 3-4 X 1993). Podczas podróży czwartej pod ko-

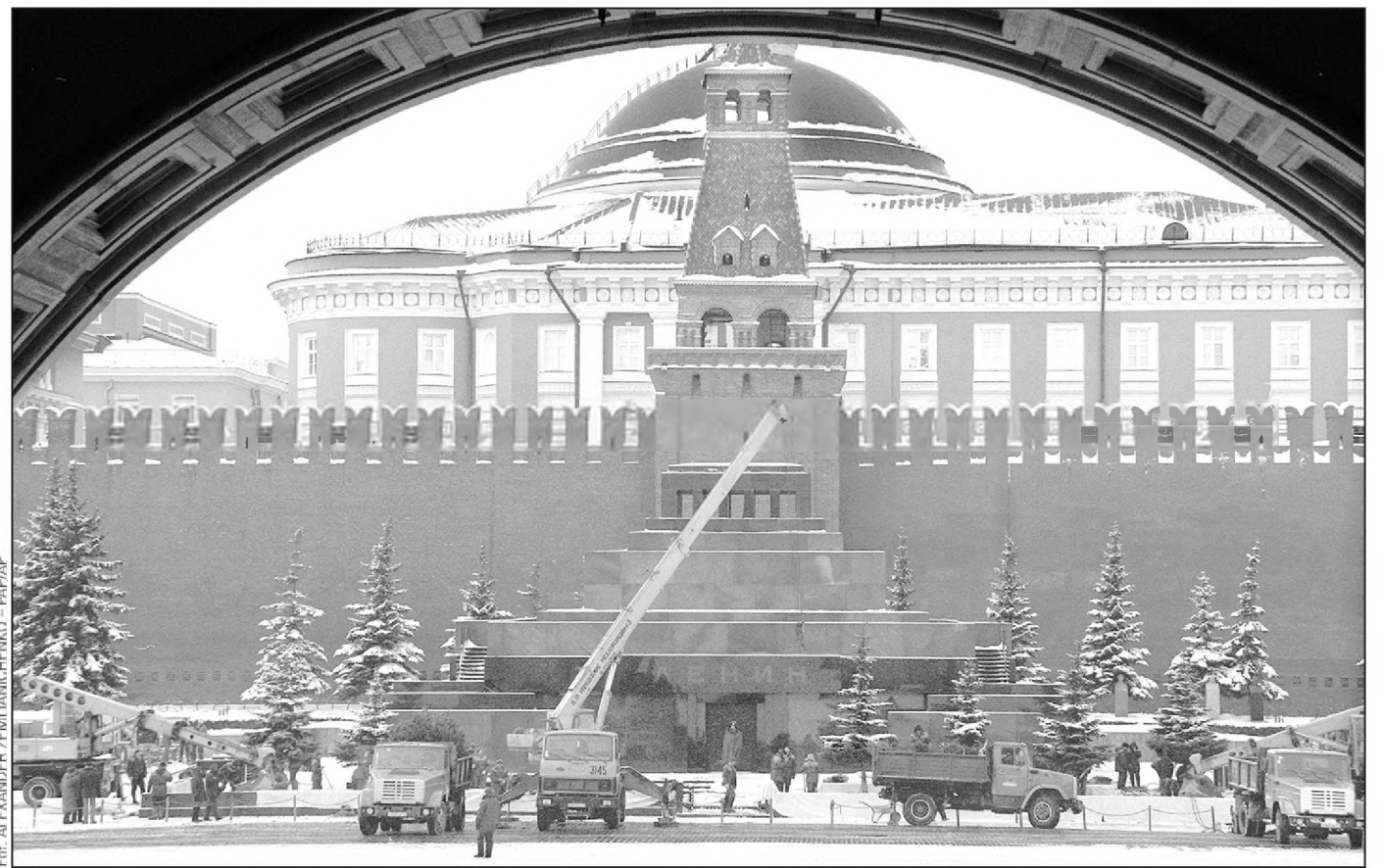
niec listopada 1994 roku nagrywałem dla „Tygodnika” rozmowę z Bułatem Okudźwą, który – podobnie jak znakomita większość rosyjskiej inteligencji – poparł Jelcyna w jego konflikcie z Radą Najwyższą. Jeszcze na dobre nie wróciłem do Polski, kiedy wybuchła pierwsza wojna czeczeńska. Aby opublikować aktualny wywiad, posłałem pytanie do Bułata: „Co by Pan dziś mówił prezydentowi Jelcynowi, gdyby była możliwość spotkania?”. Okudźwa odpowiadał: „Dzisiaj bym się z nim nie spotkał, gdyż nie lubię pouczać ludzi. Jelcy to człowiek, który przy wszystkich swoich wadach stanął w swoim czasie nadzieję dla naszej przyszłości. Przynajmniej tak nam się zdawało... A teraz? Mimo wszystko nie widzę nikogo, kto mógłby go zastąpić... Ale gdy zobaczylem na ekranie telewizyjnym małe dzieci bez rąk i nóg, o czymże jeszcze mógłbym z nim rozmawiać? Wszyscy jesteśmy ludźmi sowieckimi, mamy sowiecką, imperialną psychikę; siedzą wewnątrz nas żądze imperialistyczne, nawet jeśli będziemy wnosili demokratyczne hasła... Dopóki nie przemieni kilka pokoleń, dopóki nie obumrze owa świadomość imperialna, dopóty Rosja nie stanie się krajem normalnym. I tak też będą nas traktować ci, co patrzy z oddali”.

Podczas kolejnych podróży w latach 1995-1996 miałem okazję podziwiać gigantyczną przebudowę i dekorację Moskwy dokonywaną m. in. przez architekta Zuraba Cerełę, za pieniądze najbogatszego burmistrza naszej planety, Jurija Łuzkowa. Największe wrażenie zrobił jednak na mnie poziom cen w stolicy Federacji – w tym względzie Moskwa rzeczywiście „dognała i pierzgnęła” Europę... Na niedawnej konferencji w Davos ktoś słusznie powiedział, że za pieniądze na wojującą Czeczenię „nieudziej bomb atomowej”. I co z tego – mówił Mitrofanow (który jest także „pisarzem”) i niedawno wydał nawet książeczkę, tytułem nawiązującą do Bułhakowa) – że zginie tam jedna mniej czy więcej „czeczeńska babuszka”? Jeśli „bombka atomowa” nie spadnie, to zginie „chłopiec rosyjski”, a tym samym nie spłodzi on czworga dzieci... Dla sprawiedliwości dodam, że ta wizja deputowanego Mitrofanowa wywołała wielkie wzburzenie w studiu telewizyjnym NTV, najostriej oponował przedstawiciel partii „Jabłoko”, Arbatow.

Tym razem jechałem do Rosji po półrocznej przerwie.

ZBRODNICZA GEOPOLITYKA

„Europa Rosji nie rozumie” – skrzył się już w 1869 roku Nikołaj Danilewski, ojciec imperialnego rosyjskiego panslawizmu – żyć jej jedynie krzywdy, raduje się z jej nieszczęście. Europa uważa Rosję za „lumieli wolności”, „ciemną i złą siłę”, „politycznego Armana”. Piszcie Danilewski: „Gemeiner Russe, Bartrusse (podły Rosjanin, brodaty Rosjanin) to pojęcia wyrażające pogardę w języku Europejczyka. Rosjanin w ich oczach może pretendować do ludzkiej godności dopiero wtedy, gdy zatracił już wszelkie narodowe oblicze”. Danilewski pisał te słowa w czternaste lat po przegranej wojnie krymskiej, w okresie nieudanej próby europeizacji kraju przez cara Aleksandra II. Proponował rozszerzenie Imperium na prawosławne kraje słowiań-



skie, a następnie odrodzenie tej Wielkiej Rosji od całej reszty świata. Czy ta fatalna wizja znajduje kolejnych kontynuatorów w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku?

W telewizji NTV deputowany Aleksiej Mitrofanow, jeden z „sokołów Zyrnowskiego”, a w poprzedniej Dumie Państwowej przewodniczący Komisji d.s. Geopolityki, nawoływał przwódców Federacji Rosyjskiej do „pójścia w ślady prezydenta Trumana” i do zrzucenia na wojującą Czeczenię „nieudziej bomb atomowej”. I co z tego – mówił Mitrofanow (który jest także „pisarzem”) i niedawno wydał nawet książeczkę, tytułem nawiązującą do Bułhakowa) – że zginie tam jedna mniej czy więcej „czeczeńska babuszka”? Jeśli „bombka atomowa” nie spadnie, to zginie „chłopiec rosyjski”, a tym samym nie spłodzi on czworga dzieci... Dla sprawiedliwości dodam, że ta wizja deputowanego Mitrofanowa wywołała wielkie wzburzenie w studiu telewizyjnym NTV, najostriej oponował przedstawiciel partii „Jabłoko”, Arbatow.

Ala szczególnie mnie poruszyła przeczytana tuż przed podróżą „czeczeńska wypowiedź” Mscisława Rostropowicza. W wywiadzie dla czeskiego pisma „Tyden” powiedział on: „Podzielałem pogląd większości Rosjan: nie było innego wyjścia. Mówienie o rozwiązaniach politycznych to zawracanie głowy. Mam nadzieję, że nikt mnie nie podejrzywa, że jestem za zabijaniem starców, kobiet i dzieci. Ale w obliczu prawdy trzeba mówić prawdę... Proszę sobie przypomnieć, jak Czeczeni ucięli głowy porwanym Anglikom”. Czyli, że za zbrodnie popełnione przez czeczeńskich terrorystów trzeba spacyfikować cały naród... Później, już w Moskwie, poznałem podobną wypowiedź Natana Szczaranskiego, dawnego dysydenta, który dwa lata temu, gdy jako izraelski minister przemysłu i handlu przyjechał do Rosji, nazwał swą „Alma Mater” moskiewskie więzienie Lefortowo. Dzisiaj, jako minister spraw wewnętrznych

w rządzie Ehuda Baraka, staje po stronie swych dawnych katów i drwi z męczeństwa dzisiejszych ofiar... Do Rostropowicza i Szczaranskiego dołączają zaś pisarze (m. in. Walentin Rasputin), którzy za pieniądze Ministerstwa Obrony urządzili w czeczeńskim Gudermesie patriotyczne wyjazdowe plenum (temat: „Współczesna armia a duch narodu”). Dołącza też prawosławny patriarcha Wszechrusi, Aleksiej II („Armia walczy dzisiaj nie z czeczeńskim narodem, ale z bandytami...”).

ROSYJSKI COMMONWEALTH?

Jerzy Giedroyc w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” wyraził niedawno przypuszczenie, iż „Rosja współczesna zmierza do jakiejś formy Commonwealthu”. „Rosja dzisiejsza – przypomina redaktor „Kultury” – jest mozaiką szeregu prawie niezależnych republik, obwodów autonomicznych etc., które nie otrzymując żadnej pomocy z centrum, muszą żyć z własnych źródeł: bogactw naturalnych, bądź z przemysłu, niczego nie przekazując do centrum.”

Przyjrzyjmy się bliżej tej sprawie – kluczowej dla dzisiejszej sytuacji Rosji. W ramach Federacji istnieje osiemdziesiąt dziewięć podmiotów: dwadzieścia jeden republik, czterdzieści dziewięć obwodów, sześć krajów i wchodzących w ich skład dziesięć okręgów autonomicznych, nadto dwa miasta o znaczeniu federacyjnym (Moskwa i Petersburg) oraz jeden okręg autonomiczny (Zydowski). W Konstytucji FR jest napisane, że wszystkie jej podmioty są równe w stosunkach z centralną władzą państwową. Jednak w praktyce „najrówniejsze” są republiki, posiadające własną konstytucję (wszystkie pozostałe podmioty mają tylko „ustawy”, czyli statuty) oraz wybieranego w powszechnych wyborach prezydenta; taką pozycję mają też te jednostki, które mogą ustanawiać własne języki państwowe (niektóre z nich wprowadziły nawet „obywatelstwo republikańskie”). „Najbardziej równy” jest zaś Tatarstan, którego prezydent Mintimier Szajmijew, wybrany 12 czerwca 1991, wywalczył dla swej republiki status szczególny – prawie niezależnego państwa. Wielu politologów jest zdania, że podobna umowa, podpisana w odpowiednim czasie z Czeczenią, mogła być zapobiec dwóm okrutnym wojnom.

Republiki Federacji Rosyjskiej zostały utworzone na bazie narodowościowo-terytorialnej, ale tylko w mniejszej ich części „narod etniczny” stanowi więcej niż połowę ogólnej liczby ludności (Republikę Adygea zamieszkuje 70 procent Rosjan i 22 procent Adygejczyków, podobnie rzecz wygląda w Republice Buriackiej, jeszcze mniejsza liczba ludności rdzennej zamieszkuje Karelię i Republikę Chakaską). Z kolei obwody utworzone na bazie administracyjno-terytorialnej, tak jak gubernie w Rosji przedrewolucyjnej i województwa w dzisiejszej Polsce. W przeważającej większości obwodów „narodem tytułowym” są Rosjanie. Obwody posiadają – podobnie jak republiki i wszystkie inne podmioty Federacji – obieralne organy władzy ustawodawczej oraz rząd, na czele którego stoi gubernator (do 1996 roku naznaczany przez prezydenta FR, obecnie wybierany w powszechnych wyborach, co jeszcze wzmacnia jego pozycję). Odpowiednikiem gubernatora w miastach o znaczeniu federacyjnym jest burmistrz (w Moskwie „mer”, w Sankt-Petersburgu „gubernator”). Jest jeszcze jedna jednostka – to kraje; zostały one utworzone na rozległych i słabo zaludnionych obszarach – pięć z nich mieści ponadto w swych ramach okręgi autonomiczne. Jak więc widać, Federacja Rosyjska jest w swej strukturze asymetryczna, składa się zarówno z jednostek powstałych na bazie narodowej (republiki i autonomie), jak terytorialnej (kraje, obwody, miasta o znaczeniu federacyjnym). Ponadto, jak obliczono, co najmniej 20 proc. prawodawstwa regionów stoi w sprzeczności z Konstytucją FR i prawem ogólnym państwa. Wszystko to jest więc niesłychanie zawiłe, nawet dla miejscowych politologów i prawników. Ten stan zmonopolował rzeczywistość znacząco decentralizację Rosyjskiej Federacji.

Tak było jeszcze niedawno – wydawało się nawet, że proces usamodzielniania regionów będzie się pogłębiał. Dzisiaj jednak sytuacja się zmieniła: wolno się obawiać, że w najbliższych latach dokona się coś w rodzaju dyktatury centrum, doko-

nywanej w dodatku w imię „narodu rosyjskiego”. Może się też dokonywać „integracja na zewnątrz”; jej pierwszym sygnałem mógł być zjazd liderów Wspólnoty Niepodległych Państw w Moskwie 25 stycznia. Gwiazdą i nieoficjalnym przewodzącą Zjazdu stał się p. o. obywateli prezydenta Rosji, Putin. Jego również, nie bacząc na regulamin, wybrano już formalnie nowym przewodniczącym WNP. Tymczasem, zgodnie z procedurą nominalnym szefem winien był zostać prezydent Tadżykistanu Emomali Rachmonow... Nazajutrz, w wywiadzie dla miejscowej telewizji, Putin wyraził radość z „zacieśniania więzów krajów WNP z Federacją Rosyjską”, jako że „we wszystkich krajach Wspólnoty żyje znaczna liczba naszych rodaków”.

W ciągu dwóch tygodni, jakie spędziłem w Moskwie, dwukrotnie obiegła nas wieść o zapowiadanej przez Putina centralizacji Federacji Rosyjskiej. Mówi się też o przedłużeniu (rzecz jasna, po udatnych wyborach) kadencji prezydenckiej z czterech do sześciu lat. Będzie to czyżby trudne, ponieważ odpowiednia poprawka w Konstytucji musi być przyjęta przez dwie trzecie deputowanych Dumy Państwowej oraz trzy czwarte członków Rady Federacji. Jeżeli jednak Putin wygra wybory to znaczący przewagę, to problem przedłużenia kadencji może prędko stanąć na porządku dziennym. Wówczas może też powrócić kolejny zamiar p. o. prezydenta: przekształcenie Federacji Rosyjskiej w scentralizowany związek guberni. Temu akurat sprzeciwia się dziś przewodniczący Rady Federacji Jegor Strojew, który słusznie twierdzi, że przyniosłoby to znacznie więcej szkód niż pożytków.

WYBORY PO WYBORACH

Niedawno na konferencji w Davos prowadzący dyskusję zapytał: „Who is Mr Putin?” – i moskiewscy politycy oniemiaeli... Jednak dzisiaj losy Rosji w mniejszym stopniu zależą od tego, kim był, czy nawet kim aktualnie jest Putin, lecz od tego kim się stanie po wyborach... Jeżeli oczywiście potrafi odrzucić obecną wojenną retorykę i praktykę... „Wybory po wyborach” – tak zatytułował swój obszerny artykuł w „Izwestiach” Andriej Kostin, jeden z trzech myślicieli rosyjskich finansistów, którzy proponują przyszłej silnej władzy realizację „pakietu reform”. Kostin podkreśla zasługi Jelcyna w pierwszym pięcioletnim, jakkolwiek twierdzi, iż liberaltowemu typu Gajdara i Czubajsa musieli przegrać, gdyż lekceważyli opinię publiczną i nie szukali poparcia wśród elit politycznych. Wybrany ponownie Jelcyn nie tylko nie przyspieszył reform ekonomicznych, lecz zupełnie ich zaniedbał. Głównym celem jego istnienia było bowiem zachowanie władzy; pośrednim efektem takiego stanu rzeczy stało się „wykształcenie biznes elit, popierające kapitalizm nomenklaturowo-oligarchiczny”. Jewgienij Primakow niczego nie zepsuł, gdyż niczego nie robił (ekonomicznie „zastój”). „Mimo to – twierdzi nie bez pewnej racji Kostin – przy wszystkich najcięższych błędach i niepotrzebnych ofiarach Rosja w ciągu dziesięciu lat dokonała historycznego przełomu, zdołała przebudować ustroj społeczno-polityczny i stworzyła podstawy dla gospodarki rynkowej”. Wszystko więc zależy od tego, czy Putin oprze swą władzę na inteligentnych ekonomistach popierających rynkowe reformy, czy też – w stylu Jelcyna z drugiego okresu – oprze się na wernych, ale miernych i żądnych zysków nomenklaturzyskach.

Trudno nie zgodzić się z Kostinem, gdy twierdzi, że „drugie pokolenie reformatorów posiada ogromne zalety. Po pierwsze, doświadczenie... Uformowała się, nieważne iż jeszcze słabutką, warstwa drobnych posiadaczy, którzy oczekują reform jako impulsu dla rozwoju swego biznesu. Są wreszcie segmenty wielkiego biznesu, które dowiodły swej efektywności. Innymi słowy jest baza”.

Od siebie dodam, że istnieje również „nadbudowa” – jeszcze nigdy podczas swych podróży do Rosji nie widziałem w księgarniach takiej masy rzeczowych publikacji z zakresu prawa i ekonomii...

Co więc zwycięży – geopolityczna „idea rosyjska”, gwarantująca biedę obywatelom Federacji i strasząca jej sąsiadów, czy też pogląd drugiego pokolenia reformatorów? Silna władza Putina może sprzyjać obu scenariuszom.

Austria, Komisja Europejska i rozszerzenie UE

Nie stało się nic nowego

KLAUS BACHMANN

Teraz negocjacje UE z kandydatami będą trudniejsze – zapowiedział w ub. tygodniu w dzienniku „The Financial Times” przewodniczący Komisji Europejskiej, Roman Prodi. Otóż Komisja musi skrupulatniej niż dotąd sprawdzać, czy państwa kandydujące dotrzymują swoich zobowiązań. Chodzi o to, by... odebrać argumentów populistom w krajach już należących do Unii – takim jak, na przykład, Jörg Haider.

Równocześnie brukselski korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung” doniósł, że trzej komisarze europejscy (Guenther Verheugen, Michel Barnier i Franz Fischler) uzgodnili, iż będą przeciwać negocjacje, by uniknąć sporu o to, czy UE powinna znowu otwierać pakiet finansowy uzgodniony na szczycie berlińskim.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że świat stanął do góry nogami. Dotąd Prodi starał się o wizerunek dynamicznego, nieustraszonego rzecznika szybkiego rozszerzenia. Nagle miał sam sobie zaprzeczyc? Dotąd Komisja Europejska uważała się – zgodnie z duchem i literą Traktatów Europejskich – za strażnika ogólnoeuropejskiego dobra i broniła zasadniczego przesłania Traktatów przed zakusami rządów narodowych, które zawsze chcą korzystać wyłącznie z dobrodziejstw integracji, dotrzymywanie zobowiązań próbują zaś spychać na innych. Nagle trzech komisarzy miało się stać rzecznikami interesów kilku rządów, którym może rzeczywiście zależy, by negocjacje i spór o budżet rozszerzenia nie zakłóciły ich kampanii wyborczych w 2002 roku?

SKORO NIE WIADOMO, O CO CHODZI, TO MOŻE CHODZIĆ O PIENIĄDZE?

Otóż nie. Zgodnie z opiniami wielu wysokich urzędników komisji i niezależnych analityków oraz z prostym rachunkiem, tzw.

ram budżetowych 2002-2006 uchwalonych w Berlinie wcale nie trzeba zmieniać, aby, na przykład, objąć pierwszych kandydatów do 2006 roku dopłatami bezpośrednimi dla rolników. Plany przewidują bowiem 12 miliardów euro środków rezerwowych. Ta rezerwa zwiększy się dodatkowo, jeżeli przyjęcie pierwszych krajów nie nastąpi – jak zakładano dotąd – w roku 2002, lecz choćby rok później. Podobnie będzie, gdy Unia nie przyjmie od razu wszystkich krajów tzw. pierwszej szóstki, lecz tylko niektóre.

Wystarczy więc dopasować ramy budżetowe do liczby przyjętych krajów i do daty rozszerzenia Unii – jak zresztą jest zapisane w komunikacie końcowym z Berlina. I komisarze doskonale o tym wiedzą. Wiedzą też, co się stanie, jeżeli rozszerzenie odbędzie się z wyraźną dyskryminacją kandydatów: debata o równym traktowaniu rolników przeniesie się wówczas z negocjacji akcesyjnych na forum Rady Ministrów UE. To zaś grozi paraliżem tej ważnej dla Unii instytucji. Dlatego każdy rozsądny polityk wie, że rozszerzenie musi się kończyć kompromisem.

Jeżeli więc odrzucamy tezę, że Komisja Europejska nagle stała się siedmiokrotnie niemieckich, austriackich i francuskich nacjonalistów, że Verheugen podczas niedawnej wizyty w Warszawie kłamał, a Prodi wszedł w ślady Haidera, to wyjaśnienia trzeba szukać gdzie indziej.

W dawnych dobrych czasach, kiedy status kandydatki miało tylko sześć krajów, którymi zajmował się zespół negocjacyjny Klausa van der Pasa, role były podzielone. Van der Pas i jego negocjatorzy przyjęli rolę marchewki i przyjeżdżali do Polski z pochwałami. Z kolei Dyrekcja Generalna I a pod wodzą Guentera Burgharda odpowiadała za bieżące stosunki handlowe, żądając obniżenia ceł na importowaną stal, szybszej modernizacji hut, likwidacji specjalnych stref ekono-

micznych, cofnięcia koreańskim montowniom samochodów ulg celnych itp. Robiła więc za kij, grząc m.in. odwetem handlowym. Teraz obie dyrekcje zostały połączone,

KIJ I MARCHEWKA PRACUJĄ

na tym samym piętrze. Iskrzy, aż miło.

Urzędnicy (którzy w Unii cieszą się większą niezależnością od komisarzy niż urzędnicy rządowi w krajach członkowskich) chcieliby wyjąć kij, aby poganiać kandydatów. Komisarze studzą te emocje ze względu na wielką politykę. Stąd dziwne widowisko podczas wizyty Verheugena w Warszawie: jego otoczenie daje przecieki do mediów o fatalnym opóźnieniu Polski, grozi usunięciem jej z pierwszej grupy kandydatów oraz sugeruje nierealność roku 2003 jako terminu przyjęcia. Sam Verheugen zaś „z satysfakcją przyjmuje zapewnienie polskiego rządu o przyspieszeniu i nadal uważa, że rok 2003 jest ambitnym, ale realistycznym celem”. Prawdopodobnie więc „otoczenie” wiedziało lepiej od samego Verheugena, że ten chce rozszerzenie opóźnić...

Obraz nie byłby pełny bez opisu sytuacji w krajach członkowskich Unii. Tam bowiem coraz więcej polityków jest zrozczarowanych liczbą zgłoszonych przez kandydatów (a szczególnie przez Polskę) wniosków o okresy przejściowe. Ze strony krajów UE zapowiadają się co najwyżej trzy takie wnioski: ograniczenia w migracji zarobkowej (Niemcy i Austria) oraz w świadczeniu niektórych usług (Austria). Komisji się to nie podoba, bo bardziej niż kraje członkowskie pilnuje spójności Wspólnego Rynku. Dlatego Franz Fischler jest coraz bardziej osamotniony w opozycji przeciwko dopłatom dla polskich rolników, dlatego Verheugen odchodzi od postulatu ochrony rynków pracy

przed „sojalnym dumpingiem”. Można go było zgłaszać z pozycji niemieckiego socjaldemokraty, nie można z fotela komisarza UE.

ZE STRONY KANDYDATÓW LISTY O OKRESY PRZEJŚCIOWE

są nadzwyczaj długie. Dzieje się więc to, co niektórzy zapowiadali po szczycie w Helsinkach: Unia naciska, by sami kandydaci przyspieszyli negocjacje i adaptację jej ustawodawstwa oraz by wycofali najwięcej wniosków o okresy przejściowe. Służyło temu najpierw dopuszczenie drugiej grupy krajów do negocjacji na takich samych prawach jak pierwsza szóstka, co zwiększyło konkurencję. Krokiem drugim jest przeciąganie negocjacji w tych dziedzinach, w których kandydaci zgłosili feralne wnioski oraz stwarzanie wrażenia „że trzeba się spieszyć”. Każdy pretekst jest dobry: Haider, brak pieniędzy, prawdziwe lub wymudane opory ze strony krajów członkowskich. Najlepszym pretekstem są jednak opóźnienia samych kandydatów.

Można się na to oburzać, ale trzeba pamiętać o jednym: zachowanie spójności Wspólnego Rynku i sprawności instytucji unijnych będzie w interesie kandydatów od momentu, kiedy będą już członkami. Dziś austriacy i niemieccy politycy wyszukują byle dziurę w płocie na granicy wschodniej, by zdecydować czy Polska spełnia wymogi Schengen. Ale za parę lat Polska tak samo będzie prowadziła inspekcję granicy litewsko-białoruskiej, by się upewnić czy Litwa dotrzyma zobowiązań. Może dlatego warto ulec naciskowi z Brukseli. W przeciwnieństwie do rozszerzenia NATO, integracja z UE nie jest tylko decyzją polityczną, łatwą do uzyskania z przyczyn geopolitycznych, historycznych lub moralnych.